



Narty w Pirenejach

Gdzie spadają kozy

Nie ma śniegu? Poszukajcie w Hiszpanii.

Półtorej godziny drogi stąd przed domami rosną palmy grube jak dęby. A tu – góry nie do odróżnienia od Alp. No, może z jedną różnicą: są ośnieżone. W grudniu, gdy alpejskie ośrodki sportów zimowych zmagają się z już tradycyjną o tej porze roku śnieżną posuchą, hiszpańska Baqueira-Beret nie miała się czego wstydzić.

Pod tym względem to jedno z najpewniejszych miejsc w Europie. Na początku sezonu metr śniegu jest normą, wiosną grupość pokrywy przekracza trzy, a nawet – ostatnio w 2013 r. - cztery metry. Pogodową łaskę Baqueira zawdzięcza układowi pasm górskich, które zatrzymują nadchodzące znad Atlantyku chmury. W ciągu jednej nocy potrafi napadać metr śniegu. Co ciekawe, bez względu na warunki sezon narciarski kończy się tutaj w Wielkanoc – Hiszpan dłużej nie jeździ, a goście zagraniczni to margines, rzadko słychać nawet język francuski, choć mieszcząca Baqueirę dolina Aran leży na granicy z Francją.

Skoro o językach mowa, to na szczydach hiszpański jest tu dopiero na trzecim miejscu, po katalońskim i arańskim, czyli specyficznym dla tego miejsca gaskońskim dialekcie języka okcytańskiego. Dolina Aran, w średniowieczu należąca do Francji i bliska jej kulturowo (dopiero w 1948 r. dolinę połączono z Hiszpanią tunelem) cieszy się autonomią wewnątrz

autonomicznej Katalonii. Lokalną specyfikę widać w architekturze kamiennych domów pokrytych łupkiem, a także w kuchni. Arańską specjalnością jest zupa olha – pożywny gulasz z klopsami, kawałkami kiełbas i mięs.

– Urzeka mnie autentyczność malutkich kamiennych miasteczek, romańskich kościółków i pysznej kuchni – zachwala Magdalena Lipska, która od 10 lat mieszka w Katalonii i organizuje pobyty polskim turystom. – A przede wszystkim ludzie. Choć Val d'Aran przez całe stulecia zimą była odcięta od świata, dzisiejsi mieszkańcy chcą się na ten świat jak najszerzej otworzyć i podzielić tym, co mają. Przysiadają się i z pasją mówią o swojej kuchni, przyrodzie, kulturze, a potem jeszcze solidarnie polecą sasiada za rogiem, u którego też warto coś zjeść.

Centrum regionu stanowi miasteczko Vielha, ale narciarzom najwygodniej zatrzymać się 11 km dalej, w Baqueirze. W przeciwieństwie do urokliwych wioseczek rozrzuconych po okolicznych dolinach, akurat to miejsce nie grzeszy urodą. Monumentalne apartamentowce z wielkim parkingiem na tyłach zaczęto budować w latach 60. razem z pierwszymi wyciągami. Ostatnio dodano kilka lepszych hoteli i sklepów połączonych szerokim ocieplanym pasażem, z którego tylko parę kroków do gondoli.

Jak to w Hiszpanii, życie toczy się tu w trochę innym rytmie. Narciarzy wjeżdżających ze mną na górę o 9 rano można policzyć na palcach. Stoki zaludniają się dopiero po dziesiątej, ale że jest jasno o godzinę dłużej niż w Alpach, jeździć można nawet do 17. Obiad zwykle je się po nartach - inaczej niż np. w Austrii, gdzie w samo południe wszyscy udają się na posiedzenie do jednej z olbrzymich jadłodajni na stokach. Tu restauracyjki mają po 30 miejsc, a nie 300. Głównym posiłkiem jest kolacja, która – to poważne wyzwanie dla nie-Hiszpanów – zwykle zaczyna się o 22. Wiele restauracji otwiera się jednak już o ósmej, zwanej przez restauratorów „godziną obcokrajowców”.

Spośród kilkadziesiątu hiszpańskich ośrodków narciarskich, Baqueira-Beret jest zdecydowanie najlepszy. W niektórych rankingach umieszczono go nawet w pierwszej europejskiej dziesiątce. Moim zdaniem zasłużył – nie dlatego, że oferuje

jakieś wyjątkowe, nie znane gdzie indziej atrakcje, tylko że wszystko jest tu akuratne, w sam raz.

Układ tras jest prosty jak dłoń. Nadgarstek to miejscowość Baqueira, z której wychodzi jedyna gondola, palce to kilka dolin połączonych zbiegającymi się ponad Baqueirą wyciągami. Trudno się zgubić: można skierować się w lewo, do Beret, albo w prawo, do bardziej wymagającej Bonaiguy - wracając zawsze trafi się na główną arterię spływającą do gondoli i parkingu, dokąd narciarzy dowozi dziecięca kolejka-skibus. W sumie 146 km tras na wysokości 1500-2500 m, plus siedmiokilometrowa biegowa.

Rankiem słońce dopiero wychodzi zza gór. Zmrożony śnieg zgrzyta w ciszy, dla rozgrzewki pędzę po pustych stokach wyratrowanych w hipnotyzujące drobne rowki. Po południu temperatury przekraczają 10 stopni, mimo jeździ się dobrze. Wyciągi krzeselkowe nie mają podgrzewanych siedzeń ani osłon, bo ich nie potrzebują - ekspozycja dolin sprawia, że wiatr omija stoki, zamknięcie stacji z powodu wichury zdarza się raz na kilka lat. Całość od jednego końca do drugiego można zwiedzić poruszając się tylko niebieskimi, czerwonymi lub czarnymi trasami - trzeba się tylko trzymać znaków „safari”. Jest tu parę najtrudniejszych tras oznakowanych jako „eksperckie” dwoma rombami. Najślawniejsza to Escornacrabes, czyli miejsce „gdzie spadają kozy”. Dziś kozy mogą spadać nie niepokojone, bo dla narciarzy zjazd zamknięto - śniegu jest na razie zbyt mało, by utrzymał się w prawie pionowym kotle i przykrył ostre łupkowe skały. Ale parę innych czarnych tras jest przejezdnych, niektóre wiodą w nigdy nieratrowane bezdroża porośnięte kosodrzewiną.

Po zwiedzeniu pierwszego dnia wszystkiego od prawa do lewa zdecydowałem się trzymać wyciągu Teso dera Mina, skąd wiodą dwie przyjemne trasy bez niespodzianek, a dla złamania rutyny da się też ostrożnie czmychnąć w bok. Specjalnością Baqueira-Beret jest jazda poza trasami (kiedy jest więcej śniegu), a dla najbardziej zakręconych - „heliski”, czyli usługa polegająca na zrzuconiu narciarzy na dziewiczej górze z helikoptera - dzień tej przyjemności kosztuje 790 euro za osobę.

Właściwie jedynym minusem jest odległość doliny Aran. Z lotniska w Barcelonie, dokąd najłatwiej dolecieć z Polski, to

jeszcze cztery godziny jazdy samochodem, z francuskiej Tuluzy – dwie. Najlepiej więc albo zorganizować wyjazd przez biuro podróży, albo wynająć samochód na lotnisku. Inaczej problemem może być też dotarcie do wyciągu, o ile nie mieszkamy w samej Baqueirze lub w Vielha, skąd chodzi skibus.

Robert Stefanicki